

## **Dariusz Gawin: Niepewna epoka, czyli XXI wiek w polityce**

John Gray, znakomity angielski filozof polityki, powiedział kiedyś bardzo złośliwie i zarazem bardzo celnie, że liberałowie mianem populizmu określają reakcję na skutki swoich własnych działań, których natury i konsekwencji nie rozumieją – pisze Dariusz Gawin w „Teologii Politycznej co Tydzień”: „Pięćsetka. Rzecz o XXI wieku”.

Odpowiedź na pytanie zadane przez redakcję jest trudna, ponieważ minęło dopiero dwadzieścia pięć lat z obecnego stulecia. Nie wiemy, jak potoczy się historia w kolejnych dziesięcioleciach i jaki będzie jej bilans. A to właśnie przez jego pryzmat nasi potomni będą oceniać czasy, w których teraz żyjemy. To z tej perspektywy będą na nie patrzeć, mówiąc o „początkach XXI wieku” i ich politycznym i intelektualnym klimacie. Na pewno powstanie wiele książek dowodzących, że właśnie wtedy – a ich „wtedy” to przecież nasze „teraz”, rozpoczęły się procesy, rodziły się idee czy powstawały technologiczne innowacje, które będą odpowiadały za kształt tego przyszłego świata. Dla nich będą to rzeczy oczywiste, my poruszamy się tutaj po omacku, bo przecież wiele z rzeczy, którymi dzisiaj żyjemy, będzie historycznymi ramotami. Żeby przekonać się, że dzieje się tak zawsze, wystarczy wziąć do ręki gazetę z początku XX wieku i zobaczyć, jak wiele emocji wywoływały wtedy rzeczy, których dzisiaj zupełnie nie pamiętamy.

Można zatem co najwyżej pokusić się o wskazanie kluczowych zjawisk i problemów, które mogą odegrać rolę czynników kształtujących przyszły bieg wypadków. W warstwie politycznej takim zjawiskiem jest kryzys demokracji liberalnej chwiejącej się pod naporem ruchów, które strwożeni liberałowie określają mianem fali populizmu. Jest to dzisiaj diagnoza szeroko podzielana i funkcjonująca jako rodzaj komunału, stereotypu niepoddawanego już w wątpliwość, zarówno przez krytyków liberalizmu jak i jego obrońców. Ściśle związany z tym zjawiskiem jest rzekomy zmierzch Zachodu i wyłanianie się wielobiegunowego świata, w którym ów Zachód jest tylko jednym z ośrodków siły i bogactwa, i to ośrodkiem słabszym od nowych potęg, przede wszystkim od Chin i jego sojuszników. Teza ta często wiąże się również z przekonaniem, iż skończył się „koniec historii” zadekretowany przed laty przez Fukuyamę.

### **Przeczytaj inne teksty Dariusza Gawina**

Wszystkie te hasła i problemy prowadzą do niewesołych wniosków i pachną czymś w rodzaju nieuniknionego końca świata – jeśli nie w sensie dosłownym, to na pewno końca świata Zachodu, którego członkiem staliśmy się w perspektywie historycznej całkiem niedawno. Nie sądzę, żeby przyszłość miała rysować się w tak ciemnych barwach, choć też nie sposób zaprzeczyć, że z pewnością będzie ona burzliwa.

Zacznijmy od końca, czyli od tezy o końcu „końca historii”. Zwykło się mówić o Fukuyamie z pewną pobłażliwą ironią. Bo przecież jak bardzo trzeba być naiwnym, aby wierzyć że historia może się skończyć – to takie niemądre, nieprawdaż? Tymczasem Fukuyamie nie chodziło o to, że kresowi uległa historia rozumiana jako ciąg wydarzeń – to byłoby czyste szaleństwo, bo przecież zawsze coś będzie się działo, zawsze

będą jakieś mniej lub bardziej zaskakujące wydarzenia. Fukuyama był liberałem-heglistą (którego czytał przez Kojeve'a) i historia dla niego oznaczała proces historyczny, który posiada głębszy sens. W uproszczeniu – jego celem jest budowa porządku łączącego wolność i dobrobyt. W 1989 roku okazało się, że liberalna, wolnorynkowa zachodnia cywilizacja pokonała komunistyczną cywilizację opartą na gospodarce uspołecznionej. Tym samym zamknięciu uległa sekwencja dziejowych zdarzeń obejmujących nie tylko „zimną wojnę” lecz także całą epokę wcześniejszą, wraz z drugą wojną światową, epoką totalitaryzmów i rewolucji. Epoką, która zaczęła się w 1917 roku, a nawet wcześniej – bo Lenina, Mussoliniego i Hitlera nie sposób zrozumieć bez pierwszej wojny światowej. W głębszym zaś sensie w 1989 roku skończyła się epoka rozpoczęta dwieście lat wcześniej rewolucją francuską, czyli wydarzeniem, które według Marksa uruchomiło dynamikę najnowszej historii Zachodu. Stawką tej dynamiki było zbudowanie nowoczesnego, wolnego społeczeństwa a kapitalizm, nazizm i komunizm stanowiły konkurencyjne jego wizje. Z tych wielkich, tytanicznych zmagania zwycięsko wyszedł liberalny świat, który najpierw w sojuszu z komunizmem pokonał w czasie drugiej wojny światowej narodowy socjalizm, a potem w wyniku zimnej wojny zwyciężył komunizm.

Koniec tej wielkiej powszechno-dziejowej rywalizacji zakończył tę wielką dziejową sekwencję, nie zakończył jednak historii, która rozpoczęła się na nowo. Trzeba bowiem powiedzieć – o czym nie chcą pamiętać krytycy wyszydający rzekomą naiwność Fukuyamy, że w jego wizji historii może się ona kończyć i zaczynać wiele razy. Bo zwycięski ład nie jest w stanie perpetuować się, trwać niezmiennie, lecz zawsze osuwa się w historię, to znaczy w to, co przygodne, w to, co jest wirem nieoczekiwanych i niebezpiecznych wydarzeń atakujących struktury porządku i cywilizacji. I wówczas walka o zbudowanie na nowo

cywilizacji łączącej wolność i dobrobyt zaczyna się na nowo, niejako od początku. Nie każdy jednak początek skazany jest na sukces – nic tutaj nie dzieje się automatycznie; w zwycięstwie cywilizacji nie ma pierwiastka konieczności. W tym sensie „koniec historii” jest kategorią filozoficzną, a nie określeniem rzeczywistej epoki wiecznego pokoju. W istocie ta epoka triumfu liberalizmu trwała niewiele ponad 10 lat – zaczęła się w 1989 roku a zakończyła się w 2001, wraz z atakiem na World Trade Center. Potem przyszły kolejne uderzenia: 2008-kryzys finansowy, 2015-kryzys migracyjny, 2016- Brexit i pierwsze zwycięstwo Trumpa, 2020- pandemia COVID, 2022 -wojna na Ukrainie. To dobrze znana historia. Nie powinniśmy jednak dać zwieść się ukrytej tej narracji logice metafory wyspy porządku smaganej przez kolejne wściekłe fale chaosu. Prawda jest bardziej skomplikowana.

John Gray, znakomity angielski filozof polityki, powiedział kiedyś bardzo złośliwie i zarazem bardzo celnie, że liberałowie mianem populizmu określają reakcję na skutki swoich własnych działań, których natury i konsekwencji nie rozumieją. Innymi słowy nie jest tak, że porządek liberalny w tym wydaniu, w jakim zwyciężył dwudziestowieczną rywalizację w 1989 roku, jest krystalicznie doskonały a wszystko to, co od kilkunastu lat mu zagraża – jak np. mityczni populiści – przychodzi z zewnątrz, jak jakiś wirus atakujący zdrowy organizm. Kolejne kryzysy w równym stopniu mogą obnażać ukryte wewnętrzne wady liberalnego porządku, jak też mogą wręcz być przez nie spowodowane. Triumfująca demokracja liberalna z przełomu XX i XXI wieku nosiła przecież w swym wnętrzu zarodki wszystkich kłopotów, wśród których dzisiaj żyjemy. Składały się na nią przecież takie idee jak wielokulturowość, globalizacja, neoliberalizm gospodarczy. To wtedy powstał ten niezwykle mocny stop brutalnego kapitalizmu, podporządkowanego rynkom finansowym, który pociągnięty został z wierzchu pokostem progresywnej ideologii. W

efekcie bezwzględne na co dzień korporacje międzynarodowe chwaliły się wdrażaniem standardów DEI – *diversity, equity, inclusion*, łącząc bezgraniczną chciwość z wizją świata bez granic, bez różnic, opartego na tolerancji rozumianej już nie jako tolerowanie tego, z czym się nie zgadzamy, lecz na idei obowiązkowej akceptacji każdej inności. To wtedy głoszono przewagę technokratycznego zarządzania nad demokratyczną polityką a wielkie centrum zaczęło pożerać tradycyjną lewicę i prawicę, przekształcając polityczne rządy w bezalternatywne zarządzanie (przecież eksperci i specjaliści lepiej wiedzą niż arytmetyczna większość, co jest lepsze dla płonącej planety albo dla podtrzymania wzrostu gospodarczego). To wtedy odrzucono tzw. wielkie narracje i wtedy liberalizm złączył się z progresywną ideą *woke*. W imię tej narracji odrzucano narodowe tożsamości, religię i tradycyjny model rodziny. Największym paradoksem tej całej historii jest to, że liberalizm jako uniwersalna idea nadająca kierunek dziejom powszechnym został przez progresywną odmianę liberalizmu zdekonstruowany i zdegradowany do roli lokalnej, zachodniej ideologii. Przestał być kluczem do rozumienia dziejów powszechnych, a stał się zbiorem reguł porządkujących życie codzienne w Ameryce, Europie czy Australii.

**Przeczytaj również: Dariusz Gawin: konflikt o kształt globalnej rzeczywistości**

Kwestią osobną pozostaje pytanie, jak to się stało że liberalizm – ten niegdyś porządny, klasyczny liberalizm – stopił się w jedną ideową całość z progresywną, lewicową utopią. Być może jest to jedna z najbardziej doniosłych filozoficznie i politycznie kwestii współczesnego świata. Pozostawmy ją jednak na boku. Ważna jest wszakże przyszłość. Stawkę w grze o przyszłość, której dzisiaj oglądamy początki, jest dalej cywilizacja rozumiana jako połączenie wolności i

dobrobytu. Taki jest i będzie fundament porządku, który zbudował Zachód i dzięki któremu już raz zwyciężył w poprzednim, wielkim cyklu dziejów powszechnych. Dziś Chiny proponują ludzkości dobrobyt bez wolności. Rosja nie proponuje nawet dobrobytu – wystarczy jej fantasmagoria odbudowy utraconego imperium. W istocie jest tylko cieniem potężnego niegdyś Związku Sowieckiego; potężnego nie tylko siłą fizyczną lecz także siłą uniwersalistycznej ideologii, jaką był marksizm. Duginowski tradycjonalizm to jedynie karykatura takiej ideologii.

Lekcja, jaka płynie z dzisiejszej słabości Moskwy jest taka, że sama fizyczna siła to zbyt mało. Zachód wygrał poprzedni cykl, bo umiał połączyć fizyczną siłę i filozoficzną odwagę. Powrót historii oznacza powrót wielkiej rywalizacji. Oznacza także powrót przemocy, jako instrumentu uprawiania polityki. Tylko ludzie przekonani, że mają rację, że stają do walki w obronie naprawdę mocnych racji i prawdziwych wartości są w stanie podjąć wyzwanie historycznej rywalizacji. Dla ludzi przekonanych o tym, że historia się skończyła jest to trudne – epoka wiecznego pokoju musi przecież oznaczać triumf pacyfizmu. Tak samo jak trudne jest uwierzenie we własne racje w wielobiegunowym świecie, gdzie wszystkie kultury są filozoficznie równe (a zachodnia nawet jakby trochę gorsza, bo przecież prorocy progresywnej lewicy wmówili jej niezmarywalny grzech kolonializmu).

Starcie progresywnych liberałów z populistami to walka w obrębie samej istoty zachodniej polityczności. Być może populizm jest złą odpowiedzią na kryzys liberalnej demokracji. Ale nawet jeśli tak, to samo pytanie jest dobrze postawione – a brzmi ono: jak odzyskać sterowność zachodnich demokracji, jak sprawić, aby mogły one z powodzeniem stanąć do obrony porządku opartego na wolności i

dobrobycie w nowym, niebezpiecznym świecie? Jak sprawić, aby ten porządek zwyciężył raz jeszcze w starciu z cyfrowym totalitaryzmem Chin obiecujących globalnemu południu dobrobyt bez wolności? Sukces w tej rywalizacji zależy w równym stopniu od siły militarnej i gospodarczej, jak i od zdolności zbudowania na nowo filozofii historii i polityki, która tchnie wiarę w sprawę wolności. Ameryka wydaje się mieć silniejszą pozycję w tych poszukiwaniach, niż pogrążona w niemocy Unia Europejska czy pogrążona w kryzysie Wielka Brytania (Trump nota bene wykorzystuje tę przewagę z całą bezwzględnością, nie robi jednak tego ze względu na interes Zachodu jako całości, lecz niestety ze względu na egoistycznie pojmowany interes Stanów Zjednoczonych). Czekamy zatem epokę pełną niebezpieczeństw, chaosu i niepewności. Po niej – jak zawsze w historii, nastanie czas nowej stabilizacji. Ważne jest, kto określi kształt przyszłego porządku. Od tego rozstrzygnięcia zależy także nasz los.

Dariusz Gawin

## **Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień” [500]: Pięćsetka. Rzecz o XXI wieku**

*fot. Wolfgang Maria Weber / Interfoto / Forum*

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---

